Nazwisko KONOPELSKI

Imiona Lesław Alexander **Pseudonim** Leszek Alexander

Z domu .....

Data urodzenia [9.06.] 1949 **Miejscowość, kraj** Polska

Data śmierci 11.04.2015 **Miejscowość, kraj** Londyn

Lat życia .....

Adres cmentarza kolumbarium w kościele ś.ś. Andrzeja Boboli

Źródła: „Nowy Czas" nr 3(2/3) 2015, s. 2, 6

.....

.....

Archiwum Osobowe Emigracji im. B. Jeżewskiego Biblioteka Polska POSK w Londynie.

„Nowy Czas" nr 3 (213) 2015 s. 2, 6

11 kwietnia odszedł

ŚP

LESZEK ALEXANDER

(LESŁAW KONOPELSKI)

Przyjaciel, muzyk,
ciepły, dobry człowiek

Żegnają Go
córka Christiane
Rodzina i Przyjaciele

Msza św. żałobna
w sobotę 9 maja, o godz. 10.00
Kościół pw. św. Andrzeja Boboli
1 Leysfield Road, W12 9JF

Po mszy św. nastąpi złożenie prochów
w kolumbarium

W sobotę 11 kwietnia
zmarł po długiej chorobie

ŚP

LESZEK ALEXANDER

(LESŁAW KONOPELSKI)

z zawodu architekt, z pasji muzyk

Nie żegnamy Cię
Drogi Przyjacielu,
bo Ty na zawsze
pozostaniesz z nami

Teresa i Grzegorz
współpracownicy „Nowego Czasu"
artyści ARTerii

Lesław Alexander Konopelski 1949 – 2015

Sukces nowoczasowej ARTerii zawdzięczaliśmy również Leszkowi. Był z nami od początku. Kiedy dowiedział się o naszej inicjatywie, od razu dołączył do zespołu szaleńców. Zaprosił znanych sobie muzyków, przywiózł swój sprzęt oraz pożyczony z Jazz Cafe POSK, polecił wynajęcie brakujących elementów nagłośnienia i sam objął funkcję głównego akustyka i animatora muzycznych ARTeryjnych wydarzeń. Występował na zaaranżowanej przez siebie scenie. Wspierał innych wykonawców improwizowanym akompaniamentem, co z kolei przemieniało się w niepowtarzalne sesje trwające do wczesnych godzin porannych. Taką prawdziwą ucztą muzyczną, której nigdy nie zapomnę, był ARTeryjny wieczór, kiedy królowa Elżbieta II obchodziła swój jubileusz na Tamizie. Służby porządkowe odcięły nas od reszty świata, wstrzymano ruch kołowy, dojechać można było tylko kolejką podziemną. I nagle oberwanie chmury. Strumienie wody przepędziły wszystkich pod ziemię, zatłoczone pociągi zabierały przemokniętych uczestników królewskiej parady, w tym naszych gości, do domów. Zostaliśmy prawie sami z kilkoma muzykami i z Leszkiem. W ten sposób doszło do najbardziej kameralnej i najdłuższej jazz session, w jakiej uczestniczyłem. Po północy do krypt do krypt weszli zmoknięci Hiszpanie, którzy w drodze do hotelu usłyszeli muzykę. Zostali do rana. Wychodząc nie mogli uwierzyć w swoje szczęście. Pogoda zepsuła paradę, ale w zamian dostali muzykę z najwyższej półki. – Czy macie swoje płyty? – pytali. Płyt nie było, i nie będzie. Niestety, tak często bywa z prawdziwymi perłami. Tak było z Leszkiem. Pozostaną wspomnienia, jego pełna wirtuozerii gra, pasja i ludzkie zwyczajne ciepło. I wiara nie w zapis, a w zdolności usłyszenia piękna i jego doświadczenia. Symptomatyczne jest to, że ten doskonały instrumentalista nie znał zapisu nutowego. Grzegorz Małkiewicz



Urodził się w polskiej rodzinie. Muzykę pochłaniał od wczesnego dzieciństwa dzięki wujowi, który kolekcjonował amerykańskie płyty, a swoich idoli słuchał ze starego radioodbiornika będącego dla małego Leszka jednym z

najważniejszych elementów wyposażenia wujowego pokoju. Dzięki mistrzowskiemu opanowaniu gitary i wyjątkowej barwie głosu, w opinii wielu osób Leszek Alexander bez najmniejszych kompleksów mógłby stanąć na jednej scenie z Erikiem Claptonem. Trudno dziś wyrokować, który z obu panów otrzymałby większe owacje.

Leszka po raz pierwszy spotkałem 30 listopada 2009 roku. Tego dnia Włodek Fenrych, globtroter-erudyta, stały współpracownik „Nowego Czasu" spontanicznie zaproponował mi wyprawę do krypty anglikańskiego kościoła St. George the Martyr w Londynie przy Borough Station. Była to andrzejkowa ARTeria „Nowego Czasu", której bohaterem był Andrzej Krauze, wystawiający swoje znakomite rysunki. Wtedy to po raz pierwszy spotkałem ludzi, których dotychczas znałem tylko ze szpalt pisma, które Włodek czasami mi podrzucał, a obecność Andrzeja Krauzego, którego rysunki podziwiałem jeszcze jako nastolatek, przyprawiła mnie o zawrót głowy. Postaci przewijały się jak w kalejdoskopie, a ja chłonąłem wszystko i wszystkich. Wiedziałem, że będę tu wracał.

Gdy usłyszałem wokal Leszka Alexandra, stałem przez chwilę nieruchomo nie dowierzając, że to wszystko naprawdę się dzieje. Pierwsza gitarowa solówka wywołała u mnie jednoznaczne skojarzenie. On gra jak Clapton! Po występie solowym Leszek towarzyszył jeszcze na scenie znakomitej Dominice Zachman, która również wystąpiła w repertuarze bluesowym. Byłem tak oczarowany ich występem, że bałem się do nich podejść, co raczej nigdy po koncertach mi się nie zdarza.

Dwa lata później byłem odważniejszy i lepiej przygotowany technicznie. 16 lipca 2011 roku zabrałem ze sobą dyktafon i w podziemnych korytarzach St. George the Martyr poprosiłem Leszka Alexandra o rozmowę. Leszek – jak zawsze – oprócz nieodłącznej gitary przywiózł ze sobą na ARTerię swój magiczny sprzęt nagłaśniający oraz kilometry kabli, których pajęcza sieć za pomocą jego dłoni połączyła wszystkie mikrofony i instrumenty w doskonałą harmonię. W oddali słychać było jamujących muzyków, a mój rozmówca spokojnym tonem rozpoczął swoją opowieść...

– Gdy miałem dwadzieścia parę lat, grałem Hendrixa, Led Zeppelin. Byłem bardzo szybki i grałem w stylu Hendrixa jeszcze zanim Hendrixa słyszałem. Jak usłyszałem pierwszy utwór, Hey Joe, to stałem przy tej maszynie, co grała i czułem, jakby ktoś zimną wodę lał mi po plecach. Nie mogłem uwierzyć, że facet grał to co ja, tylko sto razy lepiej. Potem zaczął się ten mój związek z Hendrixem. Zacząłem śpiewać i grać zupełnie jak on.

Dlaczego wyjechałeś do Stanów?

– Grałem w restauracji w Londynie i pewnego wieczoru przyszedł tam starszy facet w starym płaszczu. Usiadł, słuchał, a potem poszedł. Na drugi dzień znowu przyszedł, a na trzeci dzień poprosił mnie do stołu i mówi: jestem managerem bardzo znanego music business. Nie powiem ci, co to jest, ale oferuję ci kontrakt na sześć miesięcy. Jak ja ci nie znajdę recording contract, to nikt ci nie znajdzie, tylko musisz to podpisać na sześć miesięcy. Podpisałem więc ten kontrakt na sześć miesięcy i okazało się, że był to manager Davida Essexa. Dwa dni potem David Essex przyszedł do restauracji z Alice Cooperem. Naturalnie wszystkie kelnerki się posiusiały (śmiech). Dawid Essex gra na perkusji, i to niesamowicie gra, i tak samo fantastycznie śpiewa bluesa. Miałem parę piosenek, które sam napisałem i po prostu poszliśmy do studia i je nagraliśmy.

Znakomicie grasz na gitarze, masz mocniejszy głos niż Clapton. Dlaczego ktoś taki nie zrobił kariery? Co cię zablokowało?

– Tak szczerze mówiąc to ten kontrakt. Dlaczego pojechałem do Ameryki? Bo oni tam najlepiej grają i mają tego czuja. Motown to jest jazz dla wszystkich. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że to jest jazz. Jak oni grają, to jeden gra jedną sekcję, drugi gra drugą sekcję, trzeci... itd, a w Anglii wszyscy zapier...ją na tym samym. Ten gra funkcję A, a prowadzący też gra A i nie ma, że szukają jakiejś harmonii i żeby każdy miał jakieś swoje miejsce. Wiesz... zawsze jak słucham płyt z Motown, to tam gitara nie tylko ci gra, ale ona zawsze ma taki mały pasaż i dlatego te płyty były tak niesamowite w tych czasach.

Tamla Motown kojarzy mi się z soulem...

– Tak, bo soul to jest prosty jazz, a taki Coltrane, to jest już bardziej skomplikowane, bardziej intelektualne, a jednocześnie wszyscy, którzy grali wtedy w Motown, to byli jazzmeni.

Motown to tacy artyści jak Diana Ross, Lionek Richie, a ich muzyka była patentem czysto amerykańskim. Dopiero po latach w Anglii pojawił się Simply Red, który grał podobnie...

– ...UB40 tak samo ciekawie nagrywali, Level 42 i parę australijskich zespołów, które też podobnie grały. Wiesz..., dla mnie muzyka musi mieć czuja, musi być sekcja dęta itd...

...aranż czyli to, czego nie ma dziś na takim poziomie, jaki był wtedy. Tęsknię też za brzmieniem organów Hammonda, których dziś już tak powszechnie się nie spotyka.

– Czasami jeszcze to wszystko jest. Są tacy bracia., nazywają się The Neville Brothers. Oni mają po sześćdziesiąt parę lat i ciągle jeszcze grają. Wiesz, najpierw miałem taki pomysł, żeby ekwipunek cały kupić i porządne gitary, bo zawsze na śmieciach grałem (śmiech).

Mówisz o tej, na której grałeś przed chwilą?

– Tę gitarę to akurat kupiłem za 90 funtów, ale okazało się, że to jest gitara, która jest warta dwa i pół tysiąca (śmiech). Oprócz tego ostatnio kupiłem z Ameryki w Custom Shop Fendera 335, a ta akustyczna gitara, która tam stoi, to Martin.

Pomimo, że urodziłeś się tutaj, twój polski jest idealny. Rodzice pochodzą z Polski?

– Tak, ojciec ze Lwowa, a matka z Warszawy.

Polacy urodzeni w Anglii nie mówią zazwyczaj tak czysto po polsku, jak ty.

– Nie czytam nut, nie piszę, i wszystko biorę na ucho. Mam dobry słuch. Matka była arystokratką, ale nigdy się nie chwaliła swoim pochodzeniem. Zachowywała się i mówiła po polsku w pewien szczególny sposób.

Czy Leszek Alexander to twój pseudonim artystyczny, czy nazwisko?

– To są moje pierwsze dwa imiona.

Czy mając polskie korzenie i grając bluesa, słyszałeś o takich artystach jak Tadeusz Nalepa, Breakout czy Dżem?

– Nie, natomiast Niemen bardzo mi zaimponował. Ta płyta, gdzie są te świeczki i gdzie on bierze te wysokie nuty nawet wyżej niż najwyższa nuta na gitarze (śmiech). To była niesamowita gimnastyka. Ostatni duży koncert, jaki miałem tu, w Anglii, był w 1986 roku. Perkusista z King Crimson Brian Auger, Kokomo, basista, który grał wtedy z Joe Cockerem i ja. Ale mieliśmy takie zakichane szczęście, że byliśmy pierwszym zespołem, który zagrał na tym koncercie. Dopiero, jak myśmy skończyli, weszła prasa. Nie słyszeli nas, a gdyby słyszeli, to wiesz co by było? Bo ludzie powariowali...
Po wyłączeniu dyktafonu nasza rozmowa zeszła na tematy osobiste. Udzielił mi kilku cennych rad, jak odnaleźć się w społeczno-ekonomicznych labiryntach Zjednoczonego Królestwa. Powiedział mi też, że życie to nie tylko zarabianie na chleb. W dużym stopniu tamta rozmowa z nim uruchomiła we mnie nowe myślenie. I to właśnie w jakimś stopniu dzięki tej rozmowie jestem dziś w takim punkcie swojego życia, a nie w innym.
Leszek Alexander posiadał także rzadko spotykaną intuicję odnajdywania się w jam sessions, które mimo że były spontaniczne, dzięki Leszkowi w sposób praktycznie dla słuchacza niezauważalny, były przez niego zawsze po mistrzowsku kontrolowane.
Leszku, zamiast blasków jupiterów, na które zasługiwałeś, wolałeś skromną konsolę akustyka w kameralnym Jazz Cafe POSK. Za gitarę chwytałeś tylko czasami, a znacznie częściej sprawiałeś, że to inni byli tam słyszalni. Teraz spotykasz wszystkich największych, w tym także swojego ukochanego Jima. Zagrajcie razem Hey Joe, a potem zróbcie taki jam, jakiego tam jeszcze nigdy nie było... Dziękuje Ci za każde słowo.

Sławomir Orwat

Msza św. żałobna
sobotę 9 maja, o godz. 10.00
Kościół pw. św. Andrzeja Boboli
1 Leysfield Road, W12 9JF
Po mszy św. nastąpi złożenie prochów w kolumbarium

http://www.nowyczas.co.uk/news.php?id=1876